

KAZIMIERZ STOPA

ur. 1923; Rozięcín



| | |
|-------------------------|---|
| Miejsce i czas wydarzeń | Lublin, PRL |
| Słowa kluczowe | projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, praca w roli kierownika internatu, poznanie żony, studia na KUL-u, konflikty w pracy, kontrola oświatowa, walka z Kościołem, pan Rogoza, kradzieże |

5. „Panie sekretarzu, ja tego krzyża nie wieszałem, i ja go zdejmował nie będę”

Chcę powiedzieć o jeszcze jednej, bardzo ciekawej rzeczy. W drugim roku mojej pracy w internacie, jako kierownika internatu, założyłem rodzinę. Ożeniłem się. Żoną moją została Teresa Jadwiga Przystojecka, córka Tadeusza Przystojeckiego, pseudonim „Lech Żelazny” oficera powstania warszawskiego, kawalera Krzyża Virtuti Militari, i matki, z domu Ziętek. Zarówno przyszłego teścia, jak i przyszłą żonę, poznałem w Niemczech Zachodnich w obozie Tipihan w Dipholtz. Moja przyszła żona miała wówczas piętnaście lat, ja miałem dwadzieścia trzy lata. Była harcerką, ja byłem komendantem hufca. Była to raczej przyjaźń z rodziną, a dopiero po latach, już po powrocie do kraju, nawiązaliśmy kontakty i pobraliśmy się. Ja jako kierownik internatu i student pierwszego roku Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a moja żona jako studentka pierwszego roku Akademii Pomorskiej Medycznej w Szczecinie, która przyszła do Lublina i tu kontynuowała studia. I co ciekawe, ja podjąłem studia na KUL-u bez zgody władz, bez zawiadomienia władz, podjąłem studia stacjonarne, ponieważ miałem nienormowane godziny pracy, więc mogłem w każdej chwili się urwać z internatu dla załatwienia takich czy owych spraw, i na wybrane wykłady uczęszczałem na KUL. Uczęszczałem też późnym wieczorem na ćwiczenia z zakresu specjalności jaką studiowałem. To było, że tak powiem, nie znane dla moich władz oficjalnych. To było coś, co graniczyło z wielkim ryzykiem, bo byłem pracownikiem zakładu kształcenia nauczycieli - świeckich zakładu kształcenia nauczycieli, a jednocześnie studiowałem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, czego władze nie wiedziały. Ale finał tego, opłakany dla mnie, był dopiero później. Ale chcę opowiedzieć o takim wydarzeniu. To było w drugim roku mojej pracy, kiedy zapowiedziano frontálną wizytację zbiorczego internatu kształcenia nauczycieli, przez władze centralne Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Towarzystwa Oświatowego

ówczesnego Wojewódzkiego Wydziału Oświaty w Lublinie. No i na terenie internatu, na blisko dwa tygodnie, zakotwiczyła komisja wizytatorów, którzy badali całokształt życia placówki, a więc zarówno realizację programu dydaktycznego, jak też wychowawczego, jak też sprawy gospodarcze, majątkowe, porządkowe, higieniczne, jednym słowem objęła ta wizytacja, prześwietliła ta wizytacja całokształt pracy tego zakładu. Ta blisko dwutygodniowa wizytacja zakończyła się konferencją rady pedagogicznej z udziałem wszystkich nauczycieli i wychowawców oraz przedstawiciela załogi, towarzysza Rogoży, który był członkiem egzekutywy podstawowej organizacji partyjnej przy liceum wychowawczym przedszkoli w Lublinie. No i podsumowywał tą wizytację ówczesny sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie Stanisław Tołodziecki. Pozytywnie ocenił pracę dydaktyczną, pozytywnie ocenił stan higieniczno–anitarny i wyposażenie internatu, bo ja to doprowadziłem wręcz do absolutnej czystości, higieny i dyscypliny, ale wyraził jedno spostrzeżenie, i postawił pytanie: „Ale jak ja mogę ocenić działalność pedagogiczno–ychowawczą placówki, skoro w kuchni Liceum Wychowawczych i Przedszkoli Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, zakładów świeckich, wisi półtorejmetrowy krzyż dębowy?” I zwrócił się do mnie: „Co pan na to, panie kierowniku?” Więc cała sala, wszyscy rzucili na mnie wzrok, ja wstałem i powiedziałem: „Panie sekretarzu, ja tego krzyża nie wieszałem, i ja go zdejmował nie będę” W dodatku ten krzyż wisi w zakładzie pracy, gdzie pracują kobiety uznające autorytet krzyża i mające prawo do wyznawania swojej religii, i ja tego krzyża zdejmował nie będę. Nie wiem jak szanowna komisja, szanowni wizytatorzy ocenią pracę w całości, ale ja w tej materii mam jednoznaczne zdanie, ja nie będę wchodził w konflikt z załogą, i na siłę nie będę usuwał emblematów religijnych z miejsca ich pracy.”No i na tym się narada skończyła. Więc ujemna ocena była z tego, że wisił krzyż w kuchni. Chyba w trzy dni po tej naradzie jestem w niedzielę sam, bo siedziałem całymi dniami, świątek, piątek i niedziela, zaaferowany wieloma sprawami tak olbrzymiej placówki, i stukanie do drzwi. Na moje „proszę”wchodzi pan Rogoza. On zawsze z taką lisią minką, i zacierając rączki przed sobą mówi: „Panie kierowniku, zaobserwowałem, że pan ma kłopoty.” Ja mówię: „A kto ich nie ma” - „O właśnie, ja z tym krzyżem” A ja mówię: „Tak panie Rogoza, kłopot” - „Proszę pana, ja mam na to radę” - „Jaką, panie Rogoza?” - „Proszę pana, jeżeli mi pan zezwoli, to ja ten krzyż usunę” - „Jak panie Rogoza?” - „No, to już moja sprawa, ale chciałbym mieć u pana aprobatę” A u mnie błysk, od razu sobie skojarzyłem pewne fakty. Ja mówię: „Panie Rogoza, ale ja o tym oficjalnie nic nie wiem” - „Ależ panie kierowniku, nic pan nie będzie wiedział, nikt nic nie będzie wiedział, ja to załatwię” - „Panie Rogoza, to niech pan to załatwi” I na tym się rozmowa skończyła. Dlaczego ja się tak skwapliwie zgodziłem na jego propozycję? Otóż w sejfie, w moim biurze, było już siedem protokółów kradzieży dokonywanych z podręcznego magazynu w kuchni. Pomieszczenia kuchni były okratowane, drzwi zamykane na potrójne sztaby - od wewnątrz, przy wejściu do stołówki z internatu, i od zewnątrz przy wyjściu z kuchni. I

były trzy różne klucze, i trzy kobiety te klucze pomiędzy sobą zabierały. Miały przyjść każdego ranka, by wydawać żywność. I mimo tego wszystkiego były meldunki o tym, że ginęła wędlna, masło i inne atrakcyjne produkty z magazynu podręcznego. Produkty przygotowywane na wydawanie śniadań dla młodzieży. Te kradzieże były niewielkie, kilkukilogramowe, ale atrakcyjnych wędlin, masła i innych rzeczy. I ja to skojarzyłem z tą jego propozycją. Ciekawe rozwiązanie. Minęło kilka dni, to była chyba niedziela, siedzę w swoim gabinecie, i raptem słyszę wrzask na korytarzu, łoskot, bo w kuchni kobiety chodziły w takich drewnianych trepach na drewnianych podszewkach, łoskot tych trepów i otwierają się drzwi do mojego gabinetu, i jedna z takim widelcem, druga z tasakiem, trzecia jeszcze z jakimś narzędziem, i z cichością do mnie, że krzyż zginął z kuchni. A ja mówię: „Dziewczyny kochane, to posadzacie mnie? Ja przecież nie mam klucza od kuchni. Kto, kiedy to się stało?” Mówią: „Dzisiaj rano przyszłam - jedna z tych kobiet mówi - dzisiaj rano przyszłam taka zmartwiona do pracy, bo wnuczka chora, i tak chciałam westchnąć do Boga, podniosłam oczy na ścianę, patrzę -nie ma krzyża! Tylko ślad na okopconej ścianie biały, gdzie krzyż wisiał” Ja mówię: „ Nie wierzę” - „No to niech pan z nami idzie” Więc ja biegnę z nimi do kuchni, i faktycznie, na ścianie tylko ślad po krzyżu, krzyża nie ma. Od razu wdrażam dochodzenie, więc przysięgają na wszystkie świętości, na dzieci i pamięć rodziców, te które przez te minione dni dysponowały kluczem, że te klucze były prawidłowo przechowywane. To ja mówię: „No to ja nie wiem, nie wiem, jak to się stało. Ja krzyża nie zabierałem, zawieście sobie krzyż, jeżeli uważacie, że jest on wam niezbędny, no i będziemy się zastanawiali, skąd to się wszystko wzięło.” Tego samego dnia po południu, ponieważ pan Rogoza był stale w internacie, bo palił w tych piecach, które podgrzewały ciepłą wodę do urządzeń kuchennych, pralniczych i higienicznych, pukanie do drzwi i wchodzi pan Rogoza. I znów zaciera ręce i mówi: „No i panie kierowniku co? Udało się?” Ja mówię: „Tak, panie Rogoza. Udało się nad wyraz dobrze” - „A widzi pan” - „Pan jeszcze nic nie widzi” Otwieram sejf, wydaję teczkę i czytam mu - w dniu takim a takim była taka a taka kradzież, po kolei, i on się robi coraz bielszy. Ja mówię: „Panie Rogoza, pan się o krzyż potknął. Pan jest skończonym draniem i złodziejem. Masz pan papier i długopis, niech pan pisze prośbę o natychmiastowe zwolnienie z pracy. A jeżeli nie, to ja biorę za telefon, dzwonię na komisariat, przedkładam te dokumenty, i pójdzie pan siedzieć, panie Rogoza, ma pan wybór” Gdyby wzrok zabijał, chyba byłbym padł trupem. Ale pan Rogoza wziął, napisał. A obok położył pęk kluczy, jak pisał. Ja sięgnąłem ręką, i te klucze wziąłem do siebie. On do kluczy, a ja mówię: „Nie, panie Rogoza, to już nie są pańskie klucze” Podanie do sejfu. A teraz pójdziemy, tylko ja wezmę świadków, i przy mnie zabierze pan swoje rzeczy z kotłowni, gdzie pan pracował. I więcej tu noga pańska, w tym obiekcie, nie stanie. I jeszcze raz mu powtórzyłem: „Potknął się pan o krzyż, panie Rogoza” Tak się wyzbyłem człowieka, który był złym duchem tego zakładu, a jednocześnie przestały mnie nękać meldunki o kradzieżach z podręcznej kuchni. A on miał czas, był ślusarzem, trochę tam doksztalconym w zakresie

urządzeń grzewczych, podorabiał sobie klucze do tych drzwi, i penetrował kuchnię nocą, gdy palił w kotłowni, zresztą miał klucze do wszystkich pomieszczeń. To jeden z epizodów, że tak się wyrażę, walki o rząd dusz. I chcę na marginesie tego powiedzieć, że mniejsze szkody czynili ideolodzy, ci „apostołowie racjonalizmu” od tchórzy, którzy dla kariery gotowi byli wyrzec się wszystkiego, zaprzeczyć każdej prawdzie, oplugawić i opluć wszystko co polskie, święte, narodowe, byle by utrzymać się przy stołku. Takim człowiekiem była właśnie pani Szczerbowa, takim człowiekiem była pani Lepianko, mój zastępca do spraw pedagogicznych.

| | |
|--------------------------------|--|
| Data i miejsce nagrania | 2006-03-13 |
| Rozmawiał/a | Tomasz Czajkowski |
| Redakcja | Mateusz Czekaj |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |